

Absolwenci o nauczycielach

**Bożena Nowicka (z domu Gądzio) i Wojciech Nowicki –
matura 1981 r.**



*Profesor Stanisław Sarama i dzierlatki (fot. ze zbiorów Bożeny «Gądzio»
i Wojciecha Nowickich)*

Byliśmy ostatnią klasą profesora Stanisława Saramy.

Podjął się wychowawstwa przed odejściem na emeryturę i doprowadził nas do matury w brzemennym 1981 roku.

Byliśmy hordą młodych barbarzyńców, a On wytrawnym pedagogiem, pozbawionym już pewnie złudzeń, że uda się z nas wszystkich wydobyć pokłady humanistycznych pasji, tym bardziej, że była to klasa o profilu matematyczno-fizycznym.

Profesor prowadził nas przez historię literatury polskiej zdecydowanie, bez zastawiania na nas zasadzek i bez pozostawiania nas na pustkowiu. Wykładał prosto, bardzo rzetelnie, w taki sposób, że miało się wrażenie, że mówi o jednym bohaterze literackim w różnych odsłonach, w różnych scenografiach. Pokazywał Człowieka – Konrada, Kordiana, Wokulskiego, Jacka Soplicę, Cezarego Barykę, Bogumiła Niechcica jako tych, którzy nie

pozostawali obojętni i nie tkwili biernie na boku życia. Czasem okraszał lekcje anegdotami, opowieściami z akcentem lekkiej drwiny i dystansu, czasem, zwłaszcza gdy przedmiotem wykładu była literatura II wojny światowej, chmurny i zatopiony we własnych wspomnieniach, do których nie mieliśmy wstępu, mówił jakby do kogoś spoza szkolnej klasy...

Był koneserem, smakoszem i estetą. Przykładał olbrzymią wagę do zachowania w pamięci osób, zdarzeń minionych i tradycji, skrupulatnie i systematycznie prowadził kroniki szkolne. Opisywał drobiazgowo stare fotografie.

Zabierał nas, jako delegację szkoły, na pogrzeby zmarłych pedagogów, czasem ich wspominał, ciepło, serdecznie i z szacunkiem.

Cechą, która w Nim dominowała, była dyskrecja i kompletny brak natrętnego dydaktyzmu. Przynosił na przykład bilety do opery czy teatru i nie zmuszał nikogo do pójścia na spektakl. Sam przychodził na przedstawienie w ciemnym garniturze i krawacie, w białej koszuli, nienaganny, szarmancki wobec uczennic.

Niewymuszone, naturalne gesty, jak przepuszczanie dziewcząt w drzwiach, wstawanie z krzesła, gdy się do Niego podchodziło, to nas ujmowało...



*Profesor Stanisław Sarama (fot. ze zbiorów Bożeny «Gądzio»
i Wojciecha Nowickich)*



Profesor nas wychowywał z całą swą wiedzą o świecie i przekonaniem, że nie wszystko, co nam przekazuje, weźmiemy do siebie i nie wszyscy zechcemy to wziąć.

Jesteśmy tak zwanym klasowym małżeństwem, mamy więc wspólne o Nim wspomnienia. Odwiedzaliśmy Profesora jeszcze na studiach, w dniach nauczyciela. Był na naszym ślubie – serdeczny, uroczy, roześmiany.

Później... razem byliśmy na Jego pogrzebie.

Dziś oboje dziękujemy za wszystkie otwarte drzwi i zapalone lampy, dzięki którym poszliśmy dalej, zupełnie pewni swoich wyborów.

Dziękujemy za szelmowski uśmiech spod sarmackiego wąsa, za gościnność podczas wizyt w pięknym starym mieszkaniu, w którym wisiały obrazy przez Niego malowane, za wyborne, stare wino, które sam robił.

Dziękujemy za wszystko Panie Profesorze.

Bożena Mokrus Gryglik – absolwentka z 1968 roku

Przed

Urodziłam się i mieszkalam z rodziną w tak zwanych Alejkach, prowadzących na Księży Młyn, przy ul. Fabrycznej 19a. Najbliższe szkoły znajdowały się na ulicy Targowej: Szkoła Podstawowa pod nr 77 i II Liceum Ogólnokształcące pod nr 63. W obu szkołach jako higienistka pracowała Pani Alina Gromada, przywożąc do szkoły swoją córkę Zosię Gromadę. Tak poznałam moją najlepszą przyjaciółkę, z którą siedziałam w jednej ławce przez następne dziesięć lat. Po skończeniu podstawówki w 1960 roku, moja starsza o ponad trzy lata siostra, Grażyna Mokrus zdała egzamin do II LO w Łodzi. Razem z Grażyną do jednej klasy chodziła nasza sąsiadka Jadzia Reznier. Siostra opowiadała o wspaniałych kolegach z klasy VIII a oraz stosunkowo surowych profesorach i wymogach szkoły. Jej wychowawcą był profesor Hieronim Flakiewicz. Siostra w czerwcu 1964 roku zdała maturę, a ja rozpoczęłam wówczas egzaminy wstępne do liceum przy ul. Targowej.

W trakcie

W jednym z teleturniejów dowiedziałam się, że najlicniejszy powojenny rocznik to 1955. Ale nas z rocznika 1950 też było w bród. W 1964 roku w klasie VIII C odliczyło się bowiem 43 uczennic i uczniów, w tym 7 lub 8 Bożen i Krystyn. Wyobraźcie sobie, ile było słodczy 13 marca każdego roku.

Naszym wychowawcą został profesor Zdzisław Wasilewski, nauczyciel matematyki. Dbał zawsze przez cztery lata, abyśmy zrozumieli tajniki tej dziedziny nauki. Jak napisałam 10 lat temu, razem z kolegą klasowym Andrzejem Kolasińskim, profesorowi Wasilewskiemu udało się to w pełni. Maturę z matematyki zdaliśmy wszyscy z ocenami pozytywnymi. Jak profesor Wasilewski tego dokonał, pozostanie Jego tajemnicą.

Pierwszym zaskoczeniem w liceum był fakt, iż grono pedagogiczne jest w większości męskie. Po sfeminizowanych podstawówkach spotkaliśmy się z Panami Profesorami i to w wieku zbliżonym do naszych dziadków. Młodszy przedstawicielami męskiej części grona pedagogicznego byli profesorowie: Kazimierz Arkusz – polonista, Przemysław Sypniewski – historyk, Wojciech Kowalczyk – wychowanie fizyczne chłopców oraz Edward Sterczewski – przysposobienie wojskowe. Wspominam tych nauczycieli,

którzy mieli lekcje z moją klasą. Drugi zimny prysznic piątkowi i czwórkowi uczniowie podstawówek przeżyli po pierwszym dyktandzie z polskiego u profesora Arkusza. Były tam: *ogary poszły w las, gzęgżółki* itp. Okazało się, że z 43 uczniów sprawdzian zaliczyło siedem może osiem osób. Najwyższą ocenę 3 z plusem otrzymała Marysia Przyłęcka. Ja też się załapałam do tej grupy z oceną 3 minus lub 3 na szynach. Następnie było już tylko lepiej. Profesor Kazimierz Arkusz był bowiem naszym Cicerone, z którym mogliśmy rozważać i czasem rozwiązywać nasze wszystkie egzystencjalne problemy nastolatków.

Naukę w 1964 roku rozpoczęliśmy w tradycyjnej siedzibie II Liceum przy ul. Targowej. Dobrze nam tam było. Wspaniałe sale lekcyjne, boisko, aula i pracownie specjalistyczne. Było też tajemnicze poddasze, na którym odbył się wyśmienity wieczór poezji Mickiewiczowskiej. Nie wiem dlaczego, ale będąc uczennicą ósmej klasy, wzięłam w nim aktywny udział.

Pamiętam, że w auli odbywały się próby chóru szkolnego pod batutą profesora Feliksa Flisa. Było to pierwsze miejsce integracji szkolnej, gdyż na tych zajęciach spotykali się uczniowie różnych klas. W nagrodę chór miał nagranie na antenie Polskiego Radia w studio przy ul. Narutowicza.

Pod koniec czerwca 1965 roku, a może w wakacje dowiedzieliśmy się o przenosinach do nowej szkoły przy ulicy też Nowej. Koledzy z mojej klasy pomagali pakować pomoce szkolne i drobne sprzęty do przeprowadzki. Mnie wakacje 1965 roku kojarzą się z wspaniałym obozem harcerskim w Jarosławcu pod komendą Pani Dyrektor Genowefy Adamczewskiej. Warunki były iście spartańskie. Starsi druhowie zbudowali nam prycze do spania z pali drewna. My maszerowaliśmy do sąsiedniej wsi, aby nabić sienniki sianem. Droga do wsi była bardzo wyboista. Nasz podobóz postanowił ją trochę wyrównać. Pomysł spodobał się wszystkim. Myśleliśmy się w morzu, a gimnastykowaliśmy i opalaliśmy na plaży, na której było sporo kamieni otoczków. Za każdym powrotem z plaży braliśmy po kilka kamieni i wrzucaliśmy do wybojów. W czynie społecznym wyrównaliśmy kawał gościńca.

W następnych latach obozy harcerskie odbywały się w 1966 i 1967 na Mazurach w Wiartlu Małym koło Pisu. Do dziś wspominam trzydniowy wypad z obozu. Pierwszy cały dzień płynęliśmy statkiem z Rucianego do Węgorzewa. Po noclegu w stodole, pieszo i każdym dostępnym środkiem transportu dotarliśmy do Kętrzyna i Gierłoży, gdzie zwiedzaliśmy bunkry

w siedzibie Hitlera. Do Kętrzyna dowiózł mnie motorowerem kominiarz ze szczotką do czyszczenia kominów na plecach. Długo nie mogłam domyć twarzy. Następnie poszliśmy do Rynu. Spaliśmy w jakiejś szkole wojskowej. Wszyscy wrócili do obozu zmęczeni, ale cali i szczęśliwi. W 1968 roku obóz znowu stacjonował w Jarosławcu. Na wszystkich obozach harcerki chórzystki zapewniały wspaniałą oprawę ognisk niezliczonym repertuarem.

Nowa szkoła była przestronna i jasna. Na co dzień uczniowie ubrani byli w ciemne ubrania, dziewczyny w fartuszki, chłopcy w swetry lub bluzy. Obowiązywała tarcza szkolna, przyszyta do ubrań zewnętrznych i tych noszonych w szkole. Obowiązkowe były też znaczki LO na beretach. Kontrola punktualności i posiadania tarcz odbywała się przy wejściu do szkoły. Bardzo często surowym kontrolerem był profesor Busiło. W dniach święta nauczyciela i święta szkoły obowiązywały nas białe bluzki lub koszule i ciemne spódnice lub spodnie. W święta odbywały się uroczyste akademie z recytacjami, piosenkami i występami szkolnego zespołu gitarowego. W szkole, przeważnie w karnawale urządzano zabawy taneczne. Oczywiście w mniejszych składach spotykaliśmy na prywatkach, zachwyceni dostępnym na płytach big-bitem.

W 1967 roku razem z Andrzejem Mądrym i Romkiem Łukaszewiczem wygraliśmy harcerski konkurs dotyczący 50 rocznicy Rewolucji Październikowej. Nagrodą był tygodniowy pobyt w Moskwie. Wycieczka pod kierownictwem Pani Genowefy Adamczewskiej odbyła się w sierpniu 1968 roku.

Brałam udział w trzech studniówkach. W 1967 roku jako przedstawiciel klasy dziesiątej, w 1968 roku w swojej, na której prowadziłam konferansjerkę z kolegą w bardzo dowcipnym programie artystycznym. Trzeci raz na studniówce w II LO byłam na zaproszenie mojej długoletniej przyjaciółki Zosi Gromady, która po rocznym pobycie w Kongo w 1969 roku przygotowywała się do matury.

W 1968 roku do matury przystąpiło 30 osób z klasy XIC, 22 uczennice i 7 uczniów. Pisemny egzamin zdaliśmy wszyscy, dwie uczennice miały poprawkowy ustny. W dniu 10 czerwca 1968 roku żegnaliśmy się ze szkołą, wiedząc, że w tym składzie nie spotkamy się więcej. Umówiliśmy się z naszym wychowawcą na spotkanie po 5 latach.



Po

Faktycznie 5 maja 1973 roku profesor Zdzisław Wasilewski zorganizował w szkolnej bibliotece spotkanie po latach. Stawiło się 20 osób, a więc dosyć licznie. Po maturze większość kolegów podjęło pracę, a siedem osób studiowało. Wszyscy obecni wpisali w kronice klasowej swoje aktualne adresy, miejsce pracy lub studiów oraz stan cywilny. Następne spotkanie naszej klasy – 20 lat po maturze, zorganizowałam u siebie w domu w maju 1988 roku. Dzielnie w organizacji pomagali mi Krysia Langer, Stasiu Woźniak, Andrzej: Mądry i Kolasiński. W spotkaniu udział wzięło 17 osób z naszej klasy oraz profesor Kazimierz Arkusz. Panów rozpoznawałam bez pudła. Panie wszystkie witałam okrzykiem - kochanie jak dobrze Cię widzieć. Niestety, nie zapisałam wówczas aktualnych adresów i telefonów. Później już w mniejszym gronie spotykaliśmy się na Rocznicach Szkoły: 100 w 2004 roku i 110 w 2014 roku. Do dzisiaj mam kontakt telefoniczny, a jak zdrowie pozwoli to i osobisty z Bożenką Cieślak z domu Skrzyszewską, Andrzejem Kolasińskim, Wojtkiem Walezą, Julkiem Wójcikiem, do niedawna z Krysią Langer, Stasiem Woźniakiem i Andrzejem Mądrym.

Z kolegami z II LO studiowałam i pracowałam w organizacjach studenckich. Tam nawiązałam przyjaźnie, które niezmacone trwają blisko 60 lat. Myślę przede wszystkim o Basi Jaworskiej – Dębskiej i Józiu Andrzejewskim. Byliśmy ze sobą we wszystkich ważnych momentach naszego życia. Wychowywaliśmy wspólnie naszych synów. Znamy całe swoje rodziny i spotykamy się kilkakrotnie w roku. Wspominamy również naszą Szkołę – II Liceum Ogólnokształcące w Łodzi.

Piotr Sobieszczuk – matura 1972 r.

Po ukończeniu podstawówki, szkoły nr 170 na Miedzianej o mało nie trafiłem do XII LO, wtedy jeszcze na Narutowicza, ale pewnie mama zdecydowała, po szybkim obejrzeniu starych murów XII-ki, że II-ka na Nowej będzie lepsza, zwłaszcza że wielu kolegów i koleżanek ze wspomnianej tu podstawówki właśnie tam miało kontynuować edukację.

Spośród tych kolegów i koleżanek wymienię tylko Basię Łukszas, Krzyska Szczepaniaka z tej samej klasy, Turlejską, Koniarek, Kozłowską, Jasia Kołodrubca, Andrzeja Lewińskiego (którego babka grała na pianinie w zajęciach pozalekcyjnych, akompaniując do chóralnych śpiewów międzynarodowych piosenek m.in. *Пусть всегда будет солнце*, choć sama pochodziła z diametralnie „innej” tradycji i mogła pamiętać bitwę warszawską z 1921 roku) z klas równoległych.

Pierwsze dni niewiele różniły się od lat poprzednich, na każdej przerwie chodziło się wzdłuż korytarzy, i już nie pamiętam, czy ruch był zgodny czy przeciwny do ruchu wskazówek zegara i czy było to w trakcie przerwy zmieniane. Obowiązkowe były kaptcie, a więc i worek na nie, który wieszało się w szatniach na korytarzu.

Kolejne cztery lata to kalejdoskop wydarzeń, w których wycieczki poza mury szkoły były bardzo znaczące dla poznawania świata, kolegów, koleżanek i samego siebie.



A to jedna z wielu wycieczek po najbliższej i dalszej okolicy Rogowa, Tumu pod Łodzią po Malbork i Grunwald.

Od lewej: Madej, Kowalska, Łukszas, Czesna, Milewska

<https://www.youtube.com/watch?v=yaRjvUyNeY4> – arboretum w Rogowie

A tu część męska klasy, samo zdjęcie chyba nie mojego autorstwa:



*Dąbrowski, Janczak, Kowalski,
Wroński, Pęczek, Szczepaniak
i w kącie (?)*



Prof. Janowski



*Róża Walczykowska,
Kowalski Skiba Staszewski
Lukszas, Kowalska*



*Nasza pani prof.
Rudzińska, Sochacka*

I wycieczka do Tumu.



Katedra w Tumie



Kowalski, Wroński, prof. Królikowski



Jacek Polak,
prof. Wasilewski



Janek Sybilak



Andrzej Wroński,
Róża Walczykowska,
Jacek Polak

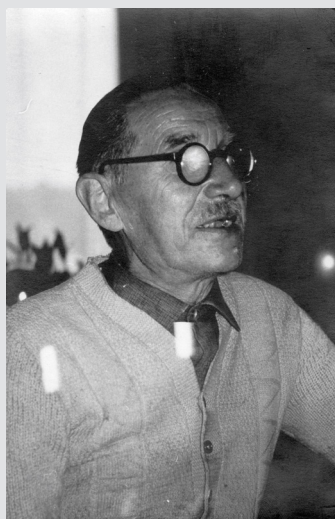
https://www.youtube.com/watch?v=zC6_CCb-dUU – Tum

I wspomniany wcześniej Grunwald:

<https://www.youtube.com/watch?v=JSjYIM83xp4> – Malbork, Grunwald

Trzy filary, już wtedy chodzące legendy, albo postacie większe niż rzeczywistość: Kaktus, Królikowski i Janowski.

Kaktus, czyli prof. Eugeniusz Łuczyński



– Zamknijcie okna, bo nam wszystkie orły wyleca.

Rzucił, wchodząc do klasy w ciemnogrnatowym kitlu i dziennikiem pod lewą pachą, aby po chwili już bardziej personalnie:

– Syneczku, ty się do cyrku ino nadajesz...

Miał dużo racji, bo moje występy w kółku żywego słowa u obydwu opiekunów, Marka Kołaczkowskiego i Pawła Kruka zakończyły się próbą zdawania do Szkoły Teatralnej, gdzie przy pierwszym podejściu zakwalifikowałem się do drugiej eliminacji, po której co prawda odpadłem, ale dało mi to tyle pewności siebie, że w kolejnym, już po pierwszym roku studiów na Biologii UŁ, próbowałem jeszcze raz zapukać do drzwi

filmówki. Tym razem padłem w „przedbiegach”¹ na pierwszej rozmowie kwalifikacyjnej, bez konieczności żadnych prezentacji.

Z innych okrytych chwałą powiedzonek profesora fizyki i równaniach, które pozostały do dziś w pamięci wyryte jak w skale $F=m \cdot a$ (gdzie siła to masa razy przyspieszenie, a przyspieszenie wyrażane w metrach na sekundę kwadrat):

– *Córeczko, weź sobie książeczkę i poczytaj troszeczkę, dzisiaj masz dwa.*

No i od genezy przezwiska:

– *Córus, mi tu kaktus na dłoni urośnie, jak ty zdasz do następnej klasy.*

O niezapomnianym Kaktusie obszerniej rozpisuje się o Jacek Polak w swoich wspomnieniach zamieszczonych w niniejszej publikacji.

* * *

Profesor Janowski postanowił, jak przystało na biologa pracującego z naturą zatrawniczyć wolny rogowy plac na rogu Nowej i Tuwima. Aby trawa mogła bujnie rosnąć, niepodeptana przez idących i wracających ze szkoły, choć naturalnym było przejść „po skosie” tegoż prostokąta, dyżury nauczycieli i uczniów wystawiane były przez kilka ładnych tygodni.

To był czas pierwszych spotkań z chlorofilem w chloroplastach, zielonymi komórkami, ustrojami pod mikroskopem, samoporuszające się cząstki materii ruchami Browna, drgające bez zewnętrznego napędu. Wszystko pod prawdziwym mikroskopem otwierającym nowy świat we wszystkich kolorach tęczy.

No i *Helix pomatia*, ślimaki winniczki hodowane przez profesora w pomieszczeniu na zapleczu pracowni biologicznej, pierwsze wtajemniczenia w krainę seksu, kiedy dowiedzieliśmy się, że każdy ślimak winniczek jest obupłciowy, więc potrafi kopulować w obydwie strony.

Wreszcie pamiętna koncepcja „mutacji genetycznej”, dekadę wcześniej niż pierwsze sekwencjonowanie DNA. Na jednej lekcji była zjawiskiem

¹ Odpowiadając na pierwsze pytanie komisji egzaminacyjnej, jak mi idą studia i czy jestem z nich zadowolony, po mojej afirmatywnej odpowiedzi uprzejmie podziękowali za dalsze prezentacje i życzyli dalszych sukcesów akademickich.

Byłem oczywiście zdruzgotany stopniem własnej naiwności i przez wiele dni nie mogłem się podnieść... Ale po latach dość jasno zrozumiałem że los czuwał nade mną... Był to też dowód, że czasami w życiu szczerłość popłaca. Jako że zawód aktora to ciężki kawałek chleba i nikomu takiego nie życzę.

wspañiałym i pożądanym, bo napędzała ewolucję i rozwój, a na kolejnej – bardzo niedobrym, bo prowadziła do deformacji i innych zmian rakowych. To prowadziło to frustracji u wielu uczniów domagających się klarowności i jednoznaczności zjawiska.

– *To te mutacje to dobrze czy źle?* – dopytywali zdeorientowani uczniowie.

Profesor Janowski w klasie maturalnej zapalił kilku z nas do studiów „na własną rękę” i przygotował do ogólnopolskiej olimpiady biologicznej, i to było otwarcie na już akademickim poziomie, kiedy „nisze ekologiczne” i postrzeganie całych złożonych „biologicznych systemów w naturze” otworzyło się jak w magicznym teatrze.

I mnie i Andrzejowi Lewińskiemu (z IVB) udało się dotrzeć do centralnych, warszawskich finałów i zajęliśmy odpowiednio I i II miejsce (do sprawdzenia, może tylko drugie i trzecie).



(to chyba nie mojego autorstwa zdjęcie...)

Na zdjęciu Janowski z Waldkiem, ten drugi też miał z nami biologię. Choć sporo było jego opowiadań z krainy kinematografii i innych filmowych i podróżniczych przygód, więc może to nie były lekcje biologii (?).

* * *

Wracając do pierwszych wrześniowych dni 1968. Pamiętam, że bardzo szybko zakolegowałem się ze starszymi o rok uczniami. Wtedy to była bardzo duża różnica i na starszaków patrzyło się z podziwem, nie mówiąc nawet o tych z licznych klas XI, którzy byli już prawie zupełnie dorośli. Szczególnie związałem się z klasą B prof. Królikowskiego, aby nie wspomnieć o Ani Mazerant, z którą przechodziłem prawie każdą przerwę... I o czym żeśmy wtedy tak intensywnie rozmawiali?



Prócz Ani, cała klasa, aby wymienić tylko Romanka Kuzmeckiego, Zbyszka Poborskiego, Zygmunta Sowińskiego (późniejszych lekarzy) czy młodego pianistę Andrzeja Bączyńskiego (i o nich za moment) wspierała swojego wychowawcę do tego stopnia, że aby lekcje astronomii, które obok geografii zaczął wyklądać, miały lepszy odbiór pomalowali całą klasę w gwiazdy z autentycznym rozmieszczeniem znaków zodiaku na suficie i ścianach bocznych.

Profesor uwielbiał stare porzekadła i inne ludowe mądrości.

– *Pomódlcie się dzieci:*

– *Chwała ci panie, żeśmy bałwany...*

aby po dłuższej pauzie dodać:

– *morskie przetrwali.*

I w podobnym nastroju:

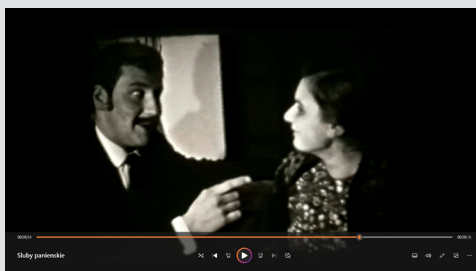
– *Szukaj, a znajdziesz mówi pismo boże.*

– *Baran kto szuka a znaleźć nie może.*

Wracając do trójcy: Zbyszka, Zygmunta i Andrzeja. Byliśmy w kółku teatralnym nazywanym, kołem żywego słowa razem z Iwonka Łękawa z klasy „A”, Andrzejem Gendkiem z równoległej „B” i innymi. Wystawiliśmy m.in. „Śluby panińskie” Fredry.



<https://youtu.be/do0YYMPBnu4>



Już w trzeciej klasie byłem na studniówce „starszaków”, czyli matury 1971 roku, było na niej sporo z naszego rocznika i jeszcze młodszych.



Romanek Kuzmecki... i Ula Tądel



https://www.youtube.com/watch?v=Ujz4Q_OQ9qc

Mama Anki Mazerant i Janek Sybilak (z równoległej klasy „B”), który zmarł tragicznie i tak wcześnie na raka, w niedługim czasie po tej studniówce, pochowaliśmy go na cmentarzu na Dołach.

A już po kilku miesiącach, po egzaminie maturalnym, rozdanie świadectw dojrzałości:



<https://www.youtube.com/watch?v=505u-QXuMyM>

W kolejnym roku szkolnym, czyli maturalnej klasie, poznawszy moje kinematograficzne hobby, prof. Królikowski poprosił o sfilmowanie ślubu i przyjęcia weselnego swojej najstarszej córki Ani; również absolwentki II LO; wyszła za Stefana Niesiołowskiego, już wtedy znanego i prześladowanego więzieniem opozycjonistę.



Jacek Kuroń był jednym z gości. Ania napisała wspomnienie o ojcu w jednej z poprzednich publikacji – „110. rocznicy mojej szkoły”.

Profesor nauki angielskiego Eugeniusz Mierzwa, na szczęście ten dekadenski język nie był zabroniony, choć do tego wszystko zmierzało, pytany:

– *Co to znaczy Scotland Yard?*

Zwykł odpowiadać z angielskim stoicyzmem i flegmą:

– *To szkockie podwórko albo szkockie 0,91 metra.*

Choć prawda jest taka, że ta historia/anegdota może pochodzić od innego profesora, Hencza, z którym wielu, którzy kontynuowali nauki na Uniwersytecie Łódzkim, miało zajęcia na lektoracie z angielskiego.

W pełni pasuje jednak do prof. Mierzwy, stąd ten cytat.



Pani polonistka prof. Bożena Zaorska i opiekun kółka żywego słowa – aktor łódzkich teatrów, wtedy Teatru im. Jaracza, Marek Kołaczkowski.



Wtedy... i dziś



<https://vt.tiktok.com/ZSFCBtUQ8/>

A tu jedno z przedstawień czy aranżacji studniówkowej.



*Jako kataryniarz z Sylwią Iwoną
Neugebauer i Różą Walczykowską*

albo trzech takich dzienników, które zaginęły bez wieści w klasie maturalnej, przysparzając wiele kłopotów naszej wychowawczynie – Jadwidze Rudzińskiej (Bieleckiej). Na zdjęciu poniżej.



Jeśli jest to zdjęcie rzeczywiście z naszej studniówki, to kolejna fotografia, której nie możemy znaleźć, dotyczy czegoś zgoła innego. Widoczny powyżej kataryniarz, ale na owym zaginionym zdjęciu Syzyf czy Ikarus wspina się na szczyty niebios, używając prostej drabiny. Tuż przed szczytem z niej spada, a z walizki, którą targa ze sobą, wysypują się dzienniki klasowe. Miała to być niezawołowana aluzja do dwu

Wiele powstało plotek na ten temat i nie jestem pewien, czy sprawa nawet po latach została do końca wyjaśniona.

Jadwiga Trzankowska



Lekcje łaciny mieliśmy tylko pod koniec szkoły i były nadobowiązkowe. Przesiedziałem z Małgosią Lasotką w jednej ławce² przez te wszystkie lata, przegadawszy bez chwili przerwy i co do minuty każdą lekcję..., a z łaciny zostało mi tylko: *quidquid discis tibi discis*.

Choć po tylu latach to i tak wielkie osiągnięcie.

Pani dyrektor i historyczka Bożena Burawska, która ze stoickim spokojem i wprost z uśmiechem znosiła różne pomysły swoich podopiecznych, jak np. moje rebelianckie ogolenie głowy. Chyba po chyba jakimś zakładzie z kolegami, lub nawet i bez, ostrzygłem się, a po obejrzeniu się w lustrze, postanowiłem zamaskować sprawę i owinąwszy całą głowę bandażem, przyszedłem na lekcje. Tym samym wzbudziłem jeszcze większe „przerażenie”. Aby więc uspokoić wszystkich, że nic mi nie jest, przynajmniej fizycznie, natychmiast w jej obecności zdjąłem te bandaże, odsłaniając pełną goleniznę, czyli gołą pałę.



Dyrektor Bożena Burawska

² Na innych lekcjach mieliśmy inne miejsca, bo sale klasowe były generalnie przypisane przez cały rok, jeśli nie dłużej, tym samym uczniom.

Podobnie zareagowała prof. od chemii nieorganicznej, również tej organicznej, Anna Kaczan.



To był niezapomniany okres, pełen nauki, wspomnień i przyjaźni. Czas spędzony w szkole podstawowej i średniej pozostaje na zawsze w pamięci, tworząc kształt naszych życiowych wyborów i pasji. Dzięki nauczycielom, kolegom i koleżankom, ta droga była pełna wyzwań, ale również satysfakcji i rozwoju osobistego.

Życzę wszystkim byłym i obecnym uczniom, nauczycielom oraz wszystkim związanym z tą szkołą dalszych sukcesów i pięknych wspomnień z tamtych lat.

Notka o Autorze i jego zawodowych losach przez niego samego napisana:

Po ukończeniu studiów na wydziale Biologii UŁ rozpocząłem pracę w zakładzie Biochemii Akademii Medycznej w Łodzi. Po wyjeździe z Polski jako uchodźca w 1981 roku zrobiłem doktorat na Uniwersytecie w Melbourne, Australia, gdzie również pracowałem przez kolejne dwa lata. Mój drugi tzw. post doc, odbyłem w IGBMC w Strasbourgu, Francja, gdzie skonstruowałem mój pierwszy transgeniczny model, tzw. myszy KO (knockout) – usunięcie specyficznego genu z genomu komórki embrionalnej i rekreacja całego organizmu. Od 1996 pracowałem kolejno w Imperial College w Londynie, na Uniwersytecie Manchester na Wyspach Brytyjskich, a następnie w Scripps Research Inst. w San Diego, Kalifornia, USA i na Wschodnim Wybrzeżu Uniwersytecie Miami na Florydzie, aby po latach osiąść w Auckland, Nowa Zelandia z trójką wnucząt.

Jacek Polak – matura 1972, klasa IVA

Byliśmy drugim rocznikiem w nowej ośmioklasowej szkole podstawowej, gdyż ówczesna władza wymyśliła, że siedem lat podstawówki to za mało, aby dostąpić możliwości kształcenia na poziomie średnim. Może już wówczas edukatorzy zorientowali się, iż nadeszły czasy coraz mniej zdolnej młodzieży. Ci, którzy uczą obecnie, idąc tym tropem, zapewne doradzaliby jeszcze znaczniejsze wydłużenie podstawowej edukacji. Zamiast tego w międzyczasie były inne błyskotliwe reformatorskie pomysły doświadczeń na młodych, żywych organizmach. Warunkiem dostania się do liceum było pomyślne zdanie wstępnego egzaminu. Wyjątkami od tego wymogu byli bardzo dobrzy absolwenci podstawówki. Znam taki przypadek osoby, której ocena z języka rosyjskiego uniemożliwiała skorzystanie z tego przywileju i dopiero aktywna działalność w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej doprowadziła do uniknięcia stresującej weryfikacji podstawowej wiedzy. Miejmy nadzieję, że to już nie wróci.

Zatem za naszych licealnych czasów nie było absolwentów rocznika 1970. Pomimo tej krótszej edukacji wśród jedenastoklasistów były jednostki szczególnie chemicznie uzdolnione. Otóż pewnego dnia cała szkoła nagle płakała, lepiej powiedzieć łzawiła z powodu tajemniczego gazu. Wszyscy musieli się ewakuować na świeże powietrze, a budynek poddany został dokładnemu wietrzeniu, więc jakieś lekcje przepadły. Sprawcy nie przyłapano na gorącym uczynku, więc nie było sankcji, jakkolwiek był podejrzany.

W godnej uznania książce wydanej z okazji 110-lecia szkoły nieżyjący już nieodżałowany kolega z B klasy – Andrzej Gendek dowcipnie wspominał takich profesorów jak geograf Hieronim Królikowski, matematyk Zdzisław Wasilewski, dyrektorka i historyczka Bożena Burawska, fizyk Eugeniusz Łuczyński znany jako „Kaktus”, wicedyrektor i historyk Antoni Busiło, polonista Stanisław Sarama, biolog Jan Janowski. Anegdoty były związane z B klasą, ale my, A klasa mieliśmy podobne doświadczenia z niektórymi wspólnymi profesorami.

Wcześniej słyszeliśmy o Kaktusie i pochodzeniu tej ksywy („prędzej córuchna kaktus mi na dłoni wyrośnie jak ty maturę z fizyki zdasz”). W szkole pierwszy raz zobaczyliśmy „tę znakomitość” na korytarzu w lekko błyszczącym, ciemnym fartuchu, w okularach z grubymi soczewkami. Nie znaliśmy

go z widzenia, więc pomyśleliśmy, że to pewnie woźny, a nie słynny w skali miasta profesor od fizyki. Okulary nie były bez znaczenia, jako że jedne były do czytania, a drugie do patrzenia w dal. Te pierwsze na nosie były znakiem, że zaraz będzie wezwany delikwent do odpowiedzi. Często było tak, że ktoś wezwany coś odpowiedział, lecz nie do końca prawdziwie, więc odczytywane było kolejne nazwisko z zapytaniem „zgadzasz się z nim/nią?” Zarówno odpowiedź „tak”, jak i „nie” mogła kończyć się dwóją. Krócej było z pierwszą, gdyż kończyło się „siędnij se – dwa”. Przy drugiej mogło być tak samo, ale niekiedy udawało się uzupełnić lub sprostować oryginalną odpowiedź pytanego wcześniej ucznia. Według tego systemu w efekcie jednego pytania mogło być wiele dwójek. Zdarzała się również prośba do klasy o zamknięcie okna „co by nam orzeł nie wyfrunął”. Wyprowadzenia wzorów zaczynała robić jedna osoba, a jak sobie nie radziła, to profesor nie pomagał, tylko zmieniała ją kolejna z listy, bo przecież to przedmiot z dziedziny ścisłych, więc następne wynika z poprzedniego. Niekiedy były pytania o definicję. Trafiło na jedną z koleżanek, która już idąc do tablicy, była lekko zarumieniona. Po pierwszej próbie została poproszona o zmianę szyku słów, potem kolejna prośba o to samo, potem „jak powiesz córuchna to, co na końcu, na początku” itp. Kolor jej twarzy zmieniał się od różowego poprzez czerwony do siniego, łzy pojawiły się w oczach. W pewnym momencie tego traumatycznego procesu Kaktus zwrócił się do jednego z kolegów: „przynieś no trochę wody, bo nam się zagrzała”. Mimo wszystko finał odpowiedzi był pomyślny. W charakterze świątecznych życzeń usłyszeliśmy: „ksiunżki pod poduszkę nie wkładej, jeno dorsza wincej jidz”. Według współczesnych standardów mogłoby to być uznane za znęcanie się lub jakiś mobbing, lecz kto u Profesora Łuczyńskiego miał dostateczny, to z fizyki bez problemu zdawał na każdy ścisły kierunek, czyli system działał. Niestety, uczył nas tylko rok i odszedł na emeryturę, lecz w pamięci pozostał jako specyficzny, ale skuteczny nauczyciel.

Inne wspomnienie związane jest z Profesorem od rosyjskiego – Janem Woszczatyńskim. Otóż jeden z naszych kolegów z ostatniej ławki zadawał kilkakrotnie pytania w rodzaju: jak jest po rosyjsku *dobrobyt*, *strażak* i inne. Za każdym razem wprawiał profesora w zakłopotanie, co wywoływało u klasy nieelegancki śmiech.

Naszą wychowawczynią była matematyczka – Profesor Jadwiga Rudzińska (Bielecka). Objęła naszą klasę bodajże w drugim roku nauczycielskiej pracy.



Można się spodziewać, że przy stosunkowo niewielkiej różnicy wieku nie było jaj lekko. Ona zdobywała doświadczenie pedagogiczne, a my matematyczną wiedzę. Obopólnym wyzwaniem okazał się ostatni rok nauki, kiedy w nieznanych okolicznościach zaginęły trzy dzienniki. Było to bardzo stresujące, gdyż z powodu braku ocen mieliśmy wiele sprawdzianów. Z tego złego na dobre wyszło to, że musieliśmy powtarzać wiedzę konieczną do matury.

Licealne czasy pozostaną na zawsze w pamięci jako wspaniały okres. W około pięcioletnich odstępach spotykaliśmy się w gronie klasowym, a ostatnio z całym rocznikiem.

Lucyna Wiśniewska (z domu Kowalska) – matura 1973 r.

Kiedy wracam wspomnieniami do lat szczęśliwych, „szczenięcych”, wg określenia Makuszyńskiego, widzę gmach II LO i przy przypominam sobie jego wygląd, układ sal; ludzi, których tu spotkałam – koleżanki, chodziłam do klasy żeńskiej (babińca jak mówiono), kolegów, a przede wszystkim nauczycieli. Wszyscy oni wywarli większy lub mniejszy wpływ na mnie i moje późniejsze wybory. Wiele osób już odeszło, z niektórymi mam kontakt do dziś (oczywiście mam na myśli swoich rówieśników). Trwale są przyjaźnie szkolne. Nauczyciele? Przede wszystkim wspominam osoby nietuzinkowe. Takim był uczący nas geografii pan profesor Hieronim Królikowski – wspaniały, obdarzony wielkim poczuciem humoru pedagog. Sama teraz jestem nauczycielką i przez cały okres mojej praktyki zawodowej często myślałam z żalem, że chyba był moim niedościgłym wzorem. Na lekcjach, aby rozluźnić atmosferę, opowiadał dowcipy.

– Mówiłem wam to już?

– Nie!!!

Brzmiała z klasy głośna i zawsze taka sama odpowiedź, choćbyśmy ten dowcip słyszały. Skłaniało go to do opowiedzenia nam żartu lub anegdoty. W pracowni geograficznej była katedra (czy ktoś ze współczesnych uczniów wie, co to takiego?). Z wyżynowej katedry zapraszał nas do odpowiedzi.

I jeśli ktoś zasłużył na piątkę, nie tylko stawiał ocenę, ale też otwierał szufladę, w której miał otrzymywane od uczniów w zamian za imieninowe życzenia cukierki i częstował nimi szczęśliwca.

Byłam gadułą, więc profesor stawiał mnie do kąta, a ja później już sama, kiedy wchodził do sali, ustawiałam się w tym kącie, ku uciechu całej klasy.

Prof. Królikowski prowadził szkolne koło krajoznawczo turystyczne (SKKP) i organizował wiele wycieczek po Polsce, a w niedziele po Łodzi. Opowiadał ciekawie i z pasją. Uwielbiali go wszyscy.

Moją wychowawczynią i zarazem nauczycielką języka angielskiego była pani profesor Alina Malutczyk. Dyrektorką zaś szkoły pani Bożena Burawska.

Języka rosyjskiego uczyła nas prof. Teresa Huszcza. Moje polonistyczne pasje rozbudziła ucząca nas języka polskiego pani profesor Bożena Zaorska. Pamiętam, jak zwracała się do nas z sympatią – „dziewczyneczki”. Pasjonowała ją twórczość Juliusza Słowackiego. Kiedy dowiedziała się,

że chcę studiować polonistykę, a wzywała kogoś do odpowiedzi, kazała mi uważać i korygować błędy.

Lekcje historii miał z naszą klasą prof. Antoni Busiło, pełniący także funkcje zastępcy dyrektora, a później pan prof. Lesław Gruszczyński; matematyki – pan Zdzisław Wasilewski.

Kiedy był chory, napisałyśmy do niego list. Ogromną radość sprawił nam, kiedy na niego odpowiedział. Do dziś pamiętam, jakimi słowami się do nas zwrócił: *Drogie, miłe acz nieznosne dziewczęta*. Cóż, wielkich matematycznych talentów w naszej klasie nie było.

W bibliotece pracowała i uczyła nas łaciny prof. Jadwiga Trzankowska (często ze względu na podobieństwo imion i nazwisk myliła mnie z moją przyjaciółką z ławki). Chemię miałam w tym czasie panią prof. Anną Kaczanową. Bardzo się jej bałam, nie tylko ja, ale w gruncie rzeczy, choć surowa i wymagająca, była wyrozumiała. Legendę szkoły dopełniała pani woźna, mama kolegi z równoległej klasy, pani Goliszowa. Właściwie o każdej, z wymienionych przeze mnie osób, mogłabym wiele opowiadać. Nasuwają się obrazy i wspomnienia, sama się dziwię, że tyle pamiętam.

Jak dobrze, że byłam uczennicą II LO. Jeszcze teraz, po tylu latach ogarnia mnie wzruszenie, kiedy myślę, że nosiłam z dumą czerwoną szkolną tarczę.

Wiktor Sulkowski o nauczycielce biologii Barbarze Kapicy

*To było już dawno
Choć czuję to żywo
Gdy do Dwójki trafiłem
Tam nauki początki czynilem*

*Na drugim piętrze po lewej stronie
Dwie klasy koło siebie stały
Jedna ciemna, siermiężna wyglądała smutnie
Druga pełna światła radości życia pochwały*

*W tej drugiej Profesor królowała cudnie,
W pierwszej nauki brzmiały nudnie
Umysł Królowej tolerancyjny wyrozumiały
Pierwszej mroczny i niezrozumiały*

*Ta „druga” nawet kawały nasze głupawe
Ze śmiechem znieść umiała.
Pokazała nam Biologii chwałę
Nasza Profesor Kapica Kochana.*

*Dziś, po latach, w głowie pełnej wspomnień
Naszych myśli oświeca promień
Bo była dla nas jak zielonej zapach łąki
Jak świata zrozumienia pąki.*

*W sercach naszych zostanie
Nasza „Biologica”
Profesor Kapica!
Wiedzy naszej początek i rozwijanie.*

Matura 1979

Anna Litwin – matura 1997 r.

Pisząc moje wspomnienia o II LO w Łodzi na 120-lecie, uświadomiłam sobie, że uczestniczyłam w organizacji zjazdu na 90-lecie. Wtedy z perspektywy piętnastolatki powitania po latach wydawały mi się trochę nierealistyczne dziś z niecierpliwością czekam na spotkanie z klasą IVC, która maturę zdawała w 1997 r., a naszą wychowawczynią była Grażyna Łukawska, która uczyła fizyki.

Z perspektywy czasu uświadamiam sobie jaka nasza fizyczka była empatyczną osobą, godzącą się na nasze najbardziej szalone pomysły, w tym na zmianę profilu z matematyczno-fizycznego na ogólny, co było pewnie podyktowane wymogami matury. Skromna, życzliwa, cierpliwa ustawiająca instrumenty fizyczne do doświadczeń z pytaniem jaki będzie skutek, który z reguły potrafili przewidzieć moi koledzy z klasy, ale nie ja. Do dziś pamiętam, że jedyną rzeczą jaką poprosiła nas na zakończenie szkoły nie były żadne wyrafinowane prezenty, tylko album z naszymi zdjęciami do legitymacji i podpisami, zbierała te albumy od każdej klasy.

Odmienną osobowość, szkolnej gwiazdy miała nasza matematyczka Krystyna Zielenow, siostra Zbyszka z zespołu z Łodzi, który śpiewał piosenkę, że w Kalifornii nigdy deszcz nie padał. Na pewno morze łez wylewaliśmy przed sprawdzianami z matematyki, które zapowiadały rozstawione ławki. Profesor Zielenow była dynamiczna, z burzą rudych kręconych włosów, słynęła z bardzo dobrego przygotowania uczniów do studiowania na Politechnice. Miała swoich fanów, ale nie miała też pobłażania dla mniej matematycznie zdolnych, które stanowiły w mojej klasie niestety dziewczęta. Czekam na spotkanie z nimi obiema na zjeździe i żałuję, że nie spotkam mojego ukochanego profesora, już nieżyjącego Aleksandra Łynki, który uczył nas historii.

Maciej Kałach – matura w II LO w 2001 r., w latach 2006–2021 reporter „Dziennika Łódzkiego”, od 2021 r. dziennikarz portalu Onet

W pierwszych dniach nauki w II LO przyniosłem do domu dwie oceny: szóstkę z polskiego (za wypracowanie o wrażeniach z nowej szkoły) oraz jedynkę z matematyki (za kartkówkę z logiki).

– I co oni tam teraz z tobą zrobią? – zapytała wtedy moja Mama, trochę rozbawiona, a trochę zmartwiona. Aktualnie raczej się nie martwi. Po części to „oni” zrobili ze mnie dziennikarza najlepszej redakcji informacyjnej w Polsce (bo za taką uważam mój Onet).

Z Dwójki pamiętam też absolutnie uroczego typa z mojej klasy, który test wyboru z biologii rozwiązywał rzutami kostką. Wynik 1–4 przypisywał do odpowiedzi A–D, jeśli wypadła piątka lub szóstka, powtarzał rzut.

Taka to była wtedy szkoła. Ambitni piątkowicze przemieszani z tymi mniej ambitnymi – i w końcu z takimi, którzy na pewnych lekcjach słuchali (ja na polskim u Anny Ryłek), zaś na innych trochę mniej. I nikt z tego większego dramatu nie robił, a ja przeczytałem wtedy najwięcej w życiu (choć może akurat nie wszystkie lektury).

Przy czym to wszystko było bardzo egalitarne, bo w sezonie osiemnastek odwiedzałem i profesorskie domy wolnostojące, i mieszkania w kamienicach na Starym Widzewie, które pewnie dziś grożą zawaleniem. Teraz jestem zdania, że taka właśnie powinna być szkolna społeczność, bo tworzenie „enklaw” to najgorsze, co może się nam się w edukacji przytrafić.

Poza tym w Dwójce miałem swój nieoficjalny „debiut sceniczny” – jako współautor uczniowskiego przedstawienia na zjazd absolwentów – a po latach w przestrzeni Teatru Nowego w Łodzi współtworzyłem monodram („O co biega kobietom”).

I na koniec jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: na lekcje do II LO dojeżdżałem rowerem już ponad 20 lat temu i nie byłem wtedy jedyny! Parkowało się wtedy jednoślądem w wyznaczonym pomieszczeniu – zwanym chyba akwariem – zatem Dwójka zaczęła „rowerowanie” Łodzi, zanim zrobiło się to modne!

<https://www.facebook.com/KalachwOnecie>

<https://www.onet.pl/autorzy/grupa-onet/maciej-kalach>



*W Dwójce miałem swój nieoficjalny „debiut sceniczny”: jako współautor uczniowskiego przedstawienia na zjazd absolwentów,
fot. archiwum prywatne*



*W II LO uczestniczyłem między innymi w „pokazie mody ekologicznej”,
fot. archiwum prywatne*

Paweł Sobczak – matura 2004 r.

Od zakończenia przeze mnie nauki w II LO mija w tym roku już dwadzieścia lat. Wciąż jednak powracam myślami do tego czasu, wspominając nauczycieli, z którymi miałem okazję się zetknąć w tak ważnym dla rozwoju młodego człowieka okresie. Byli to pedagodzy wyjątkowi, o rozległej wiedzy, wykonujący ten niełatwy zawód z pasją i świetnie potrafiący nawiązać kontakt z młodzieżą.

Tak jak Pan Aleksander Łynka, który cieszył się zasłużoną opinią nauczyciela wymagającego (zdobyta u niego czwórka znaczyła więcej niż piątka u wielu innych historyków) i zasadniczego (odpowiadając na lekcji, zawsze trzeba było wstać; nieustawienie zaś w czasie przerwy mapy na stojaku groziło karną kartkówką – obowiązek ten ciążył na dyżurnym, ale, jak nietrudno się domyślić, jego wypełnienia pilnowała cała klasa). Zarazem jednak dawał się poznać jako człowiek o dużym poczuciu humoru i dystansie do samego siebie (kiedy prowadził lekcje WOS, potrafił krytycznie wyrażać się o uczącym w naszej klasie historyku, którym był... on sam). Charakter zajęć bywał zaś często zaskakujący, niekiedy lekcje przeobrażały się w barwne wykłady, w których dawała o sobie znać praktyka nauczyciela akademickiego i (współ)autora podręczników (Pan Aleksander żartobliwie utrzymywał, że widniejący na okładkach książek zapis „Krzysztof Jurek, Aleksander Łynka” zawiera jego własne trzy imiona i nazwisko).

Z przyjemnością przywołuję w pamięci również lekcje języka polskiego, które za sprawą Pani Anny Ryłek stawały się intelektualną przygodą. Gdyby nie one, z pewnością inaczej potoczyłyby się moje dalsze losy życiowe i zawodowe. Usłyszane zaś na ostatniej licealnej lekcji życzenia, „aby nasze serca napełniły się powietrzem”, wspominam jako najpiękniejsze pożegnanie nauczyciela z uczniami. Pożegnanie jednak nie na zawsze – kilka lat później Pani Anna z wielką życzliwością udzieliła studentowi polonistyki wywiadu, który pomógł w zaliczeniu zajęć z dziennikarstwa i komunikacji społecznej (a później, gdy został poddany analizie pod kątem zgodności z maksymami konwersacyjnymi Grice’a, nawet jeszcze kolejnych).

Ucząc się w klasie z rozszerzonym językiem francuskim, wiele czasu spędzałem na lekcjach prowadzonych przez Panią Katarzynę Kubiak. Choć w momencie podejmowania pracy romanistki w II LO Pani Katarzyna

nie miała jeszcze wielkiego doświadczenia nauczycielskiego, od razu można było dostrzec, że uczenie młodzieży tego pięknego, choć niełatwego języka jest jej powołaniem. Nigdy nie ograniczaliśmy się na tych lekcjach do podręcznika – otrzymywaliśmy obficie teksty i ćwiczenia zaczerpnięte z innych książek i pomocy dydaktycznych (zwane popularnie „fiszkami”), dzięki którym nie miały przed nami tajemnic zdania warunkowe, a nawet konstrukcje czasowe. Kiedy indziej zaś tłumaczyliśmy piosenki Garou i Natashy St-Pier czy nagranie z wypowiedzią Catherine Deneuve. Ukoronowaniem obecności na tych zajęciach tekstów kultury stało się natomiast wspólne przygotowanie spektaklu w języku francuskim.

Pamiętam oczywiście również o swoich dwóch wychowawczyniach – Pani Iwonie Miedzińskiej-Szewczyk i Pani Marii Markowskiej, która przejmując wychowawstwo w drugiej klasie, pełniła tę wymagającą funkcję z wielkim oddaniem i zaangażowaniem. Na przedmaturalnym fakultecie z biologii interesująco zaś przybliżała nam zagadnienia genetyki. Ciepło myślę także o nauczycielkach przedmiotów ścisłych. Pani Renata Leźnicka rozumiała, że moje zdolności i zainteresowania realizują się na polu humanistyki i oszczędnie domagała się mojej obecności przy tablicy wypełnionej wzorami chemicznymi (niech te słowa staną się podziękowaniem po latach). Natomiast Pani Krystyna Zielenow udowodniła, że każdego można (przynajmniej do pewnego stopnia) nauczyć matematyki. Najlepiej świadczy o tym burza brow moich kolegów i koleżanek, która rozległa się w trakcie wyczytywania ocen z klasówki (teraz chyba taka praktyka nie byłaby możliwa ze względu na RODO) po słowach: „Sobczak czwórka”. Myślę o tym dziś jako o zdarzeniu mocno abstrakcyjnym, ale w końcu liczby to byty abstrakcyjne.

Ten, z konieczności skrótowy przegląd, przekonuje, że Szkoła miała szczęście do znakomitych pedagogów. Jestem przekonany, że podobnie będzie także w przeszłości.

Adrian Sienicki – matura 2002 r.

Wspomnienia z II LO

- Pani Prof. Anna Ryłek (wychowawczyni, język polski): najlepsza wychowawczyni świata! Chodząca cierpliwość do mojego języka polskiego. Mnie zaraziła czytaniem literatury polskiej i wynajdywania w niej czegoś dla siebie, ale też konsekwencją i profesjonalizmem. Anioł, Nauczyciel życia, Przyjaciel. Pamiętam, że wielką troską próbowała przy całej klasie wytłumaczyć mi, że w języku polskim nie ma zasady pojedynczego przeczenia, mówiąc, że następujące zdanie jest poprawne: „jeszcze nigdy nikt nikomu nic złego nie uczynił”.
- Pani Prof. Jadwiga Bielecka (matematyka): złapała się za głowę jak usłyszała, że 4 osoby z klasy humanistycznej będą zdawać maturę. Chodzący „klasyk” w dziedzinie przysłów: „Wszyscy, wszystko wiedzą”. Zapytana dlaczego za komplet zadań rozwiązanych na kartkówce jest 4 odpowiedzią: „6 – dla Pana Boga, 5 – dla mnie, a dla ucznia za bardzo dobrą pracę 4”. Potrafiła też zapytać przy geometrii wykreślnej: „Dziecko, czy ty wiesz, co to jest cyrkiel?”. Zawsze zabiegana pomiędzy sprawami szkoły (była v-ce dyrektorem), a lekcjami.
- Pani Prof. Ayano Inagaki (język japoński): To było coś niesamowitego dla Łodzi! Od ponad 23 lat w Łodzi, właśnie w II LO języka japońskiego uczą rodowici mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni. Ta przesympatyczna Japonka, która zawsze gdy nie rozumieliśmy czegoś, biegła i mówiła „sense pomoże”. Dzięki temu, wiele lat później mogłem bez problemu dogadać się w sprawie publikacji na konferencjach: zorganizowanych przez Chiba Institute of Technology czy na konferencji w Chińskim Wuhan, na Huazhong University of Science and Technology, gdzie nasza aplikacja została uzgodniona właśnie z prof. Makoto Hasegawa z Chitose Institute of Science.
- Pani Prof. Krystyna Kolanek (przysposobienie obronne): pamiętam do dziś obsługę IPP (indywidualny pakiet przeciwichemiczny), maski gazowej, czy opatrywanie ran (opatrunki żółwiowe przydały się zresztą kilkukrotnie).

- Pani Prof. Iwona Miedzińska-Szewczyk (język francuski): świetna specjalistka od języka francuskiego i od pomagania w zrozumieniu, dlatego w przyszłości to może być ważne... po latach okazało się jak wiele zawdzięczam nauce francuskiego u Pani Profesor. Na zajęciach staraliśmy się jak najwięcej mówić po francusku, chociaż początki łatwe nie były: „Bonjour à tous”, „Ajourd’hui dix janvier mil neuf cent quatre vingt dix neuf”, „Petit Papa Noël”.
- Pani Prof. Jolanta Saramonowicz (chemia): uczyłem się do klasówki, a w środku zeszytu zrobiłem notatki do przygotowania. Na klasówkę wyrwałem kartkę ze środka zeszytu. Poprosiłem ją o to, czy mógłbym oderwać jedną stronę (z klasówki, już po oddaniu), argumentując, że przyda mi się do innych sprawdzianów. Pani Saramonowicz wykazała się dużym zrozumieniem... po tym, jak skończyła się śmiać. Pani Profesor zawsze też wycierała tablicę... „metodą ścierki”.
- Pani Prof. Małgorzata Stawiszyńska-Janaszek (biologia): najbardziej zapadła mi w głowę genetyka, która była bardzo logicznie wytłumaczona przez Panią Profesor, a z cytatów pozostaje przytoczyć: „wyglądasz dzisiaj jak naćpana biedronka”.
- Pani Prof. Zofia Wiatrowska (geografia): do tej pory korzystam z wiedzy uzyskanej na lekcjach geografii przez Panią Profesor, przede wszystkim w trzech obszarach: zasobów geologicznych Polski, światowej produkcji dóbr i... rzek polskich. Pierwsze dwa obszary wzbudziły we mnie profesjonalne zainteresowanie, trzeci obszar zachęcił do kajakarstwa.
- Ks. Prof. Adam Bajer (religia): bardzo wyrozumiały Katecheta, szczerze wierzył w ludzi i prawie na siłę szukał w nas czegoś dobrego. Prosił, żebyśmy to my ocenili samych siebie na podstawie tego, co robimy. Zawsze te samooceny później podnosił. Nigdy się nie gniewał, że musieliśmy dograć mecz w kosza na szkolnym boisku do ostatniego dzwonka przerwy.
- Pan Prof. Aleksander Łynka (historia): kopalnia cytatów, dzięki donośnemu głosowi i wrodzonej elokwencji prowadził wszystkie konferencje i wydarzenia szkolne. Do annałów uczelni na Nowej przejdą anegdoty o jego bujaniu się na krześle, przegranej walce z grawitacją i późniejszym prowadzeniu zajęć z pozycji horyzontalnej, kiedy

prosił o „podnoszenie zwłok do odpowiedzi”. Gdy zapytał mnie czy będę zdawał maturę z historii, odpowiedziałem, że nie – ja będę ją tworzył – ogarnął go śmiech, a potem dodał: „no tak, tak, tak”.

- Pan Prof. Marek Mikosz (język angielski): Świetny nauczyciel, zarażał kulturą amerykańską, piosenkami Depeche Mode i różnymi ciekawostkami ze świata języka angielskiego.
- Pan Prof. Julian Płoszajski (fizyka):
 - Prof. Płoszajski: „jak doszedłeś do takiej interpretacji równania soczewki”, moja odpowiedź: „za pomocą książki Panie Profesorze”.
 - Prof. Płoszajski: „jakim prawem spadła ta siatka z uchwytu” (siatka dyfrakcyjna została źle zamontowana w uchwycie przez Pana prof. podczas eksperymentu i spadła), moja odpowiedź: „prawem grawitacji Panie Profesorze”.
 - Prof. Płoszajski ogólnie: „to ciekawy wynik, masz dobry aparat matematyczny, ale twój wynik jest błędny”, „wektor, wektor, a szczegóły znajdziecie w Resnicku” (przypis: Podstawy fizyki, autorzy: R. Resnick i D. Halliday), „życie nie jest sprawiedliwe”, „Jak spadnie 3m śniegu w Kanadzie na dobę to mieszkańcy mogą być przez kilka dób odcięci od świata”.
- Pan Prof. Maciej Sokołowski (wf), wcielał w życie doktrynę „from zero to hero”, dając fantastyczny wycisk na WF i na karate. Potrafił z pokracznego słabeusza zrobić sprawnego sportowca. Poczucie humoru sprawiało, że czuliśmy, że był jednym z nas. Pozwalał nam na przerwach trenować podnoszenie ciężarów i wyciskanie na ławce. Potrafił sprawić, że rywalizacja sportowa była fajną zabawą. Fantastyczny trener, super organizator, a później już – bardzo dobry kolega. Na sprawdzianie z dwutaktu, jak wpakowałem piłkę do kosza, robiąc przy okazji błąd kroków, skitował to bardzo celnie, acz ostro: „To jest zwykła popelina! Co ty, Michael Jordan jesteś? Żle, jeszcze raz”.

Piotr Cieplucha – matura 2009 r.

Czas nauki w II Liceum w Łodzi zapamiętam jako okres, który bardzo mnie ukształtował. Właśnie wtedy miały swój początek moje zainteresowania związane z funkcjonowaniem państwa, zaangażowanie w działalność społeczną, a także zetknięcie się – bliżej niż dotychczas, z kulturą i sztuką.

Sama szkoła stanowi zróżnicowany tygiel młodzieży wywodzącej się z rozmaitych środowisk. Są bogaci i biedni, mieszkający w mieście i dojeżdżający na lekcje z okolicznych miejscowości, uczniowie z dobrych domów oraz stawiający czoła problemom dnia codziennego. Różnorodność przejawia się także w kształtujących się na tym etapie życia światopoglądach i wrażliwości. Uważam, że to bardzo ważna cecha II LO. Dzięki temu dziś z łatwością przychodzi mi zrozumienie i porozumiewanie się z ludźmi wywodzącymi z różnych środowisk i grup społecznych. W II Liceum zawsze znajdzie się miejsce dla każdego.

Warto wspomnieć o latach 2006–2009, w których uczęszczałem do tej szkoły. Był to czas odtwarzaczy mp3, a później iPodów, które zapanowały na szkolnych korytarzach. W sieci królowała Nasza Klasa i GG. Jednocześnie w tych latach nastąpił znaczny exodus łodzian do Wielkiej Brytanii i Irlandii za pracę. Na ulicach miasta robiło się z roku na rok coraz bezpieczniej. Rewolucja cyfrowa nie miała jeszcze takiego tempa jak dziś, choć miała już na nas ogromny wpływ. Dzięki temu dziś stanowimy łącznik pomiędzy pokoleniami, które pozostają przy tradycyjnym budowaniu relacji międzyludzkich, a obecnymi uczniami szkół średnich, którzy komunikują się już zupełnie inaczej.

Piotr Cieplucha

wiceminister sprawiedliwości (2023)

wicewojewoda łódzki (2021–2023),

Małgorzata Karlikowska-Antosiak – rocznik 1994–1998

II Liceum Ogólnokształcące to najmiłsze miejsce wśród tych, gdzie warto być, słowa hymnu są jak najbardziej prawdziwe, nawet 26 lat po maturze. Ta szkoła była moim drugim domem, pełnym radości, gdzie czułam się zawsze zaopiekowana przez grono pedagogiczne. Najmiłsze wspomnienia to lekcje z prof. Aleksandrem Łynką, którego zawsze się obawiałam, bo był wymagający, ale szalenie zabawny i nas lubił. Pamiętam, gdy zapraszałam profesora na swój ślub, odparł, że oczywiście będzie, ale mogłam sobie wybrać inną datę, bo przecież 17 września, to atak ZSRR na Polskę... Rozbrajający jak zawsze! Brakować będzie Pana ZAWSZE, Profesorze!

Dwójka to dla mnie również dyrektor Dariusz Jędrasiak, człowiek orkiestra, z którym lekcje biologii były zawsze zabawne, a nigdy nudne! Moje życie w Dwójce, to również prof. Ewa Fedorowicz, urocza dziewczyna, zawsze uśmiechnięta i otwarta na ucznia. Z rozrzewnieniem wspominam duet cudownych polonistek mojej prof. Alicji Łackiej i prof. Anny Rylek, poezja kobiety! I Jedyna w swoim rodzaju „wróc z za okna” prof. Jolanta Saramonowicz; jako humanistka cierpiałam w klasie mat-fiz, ale prof. Saramonowicz pokazała zupełnie inne oblicze chemii i była fantastycznym opiekunem samorządu szkolnego. Pieczę nad nami wszystkimi przez 4 lata sprawowała prof. Zofia Wiatrowska, troskliwa i dbająca o swoją klasę wychowawczą.

Kocham tę szkołę i z wielką przyjemnością wracam do niej we wspomnieniach.

Aleksandra Ginter i Katarzyna Tomczak, klasa IIID
– maturzystki z roku 2010

Włodzimierz Glamaciński

Pan profesor przychodzi do II LO wyłącznie na nasze (klasy IIID) lekcje (za co jesteśmy mu wdzięczni), przez co plan lekcji jest mu całkowicie podporządkowany (za co jesteśmy wdzięczni... nie bardzo).

Prowadzone przez pana Glamacińskiego zajęcia nie są bynajmniej stereotypowe, gdyż posiada on nieco niestandardowe i nie przez wszystkich rozumiane poczucie humoru. Na początku byliśmy poddawani próbom mającym na celu ocenienie naszej **głupoty** wiedzy. Czy wyobrażacie sobie Państwo przetłumaczenie kilku zdań, których bohaterką jest Fizia Pończoszanka lub Róża Łodziarka??? No właśnie.

Pan profesor ma również słabość do wszelkiego rodzaju dygresji, zazwyczaj niewiele mających wspólnego z językiem francuskim. W odróżnieniu od innych nauczycieli, którzy najczęściej każą nam po prostu siedzieć cicho, od profesora Glamacińskiego można usłyszeć perelkę w stylu: „Niech Asia nie podpowiada, bo jej polipy w gardle wyrosną!”, co, jak można się łatwo domyślić, zmienia resztę zajęć w wykład z biologii, gdyż każdy chce wiedzieć, cóż to takiego są te polipy?

Profesor Glamaciński zasługuje też na tytuł mistrza ciętej riposty, ale, co ważne, jego wypowiedzi nigdy nie mają na celu dokopanie uczniowi.

Uczeń: Ale ja nie umiem tego **z** powiedzieć!

Profesor: Ja też nie umiem po tym podeście chodzić, a z jaką gracją się poruszam (chodzi rzecz jasna o podest w sali nr 214).

Wstyd przyznać, ale pójście do klasy z rozszerzonym językiem francuskim było dla wielu z nas drogą ucieczki przed trudniejszymi, w naszym mniemaniu, przedmiotami. Nie byliśmy jednak gotowi na to, co nas czekało,

* la préposition **de** + les relatifs composés

quel	quelque
lequel	lequel

** la préposition **de** + les relatifs composés

quel	quelque
lequel	lequel

ingrédients!!

Voilà les photos de vacances.
Il y a mes amis sur les photos.

Voilà les photos de vacances sur lesquelles il y a mes amis.

ATTENTION!

quel	quelque	?
lequel	lequel	

a mianowicie na wykład gramatyki w wykonaniu pana profesora Glamacińskiego, wielkiego miłośnika wykresów:

← wszyscy zginiemy O_O

Na tym kończymy nasz przydługi wywód i pragniemy podzielić się z państwem ostatnią na dzisiaj* złotą myślą pana profesora:

Ziemia umiera, lecimy w dół, proszę się trzymać!

Julia Płonka – matura 2020

We wrześniu, 2017 roku po raz pierwszy przekroczyłam mury II Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi. Wiem, że moje doświadczenie nie jest uniwersalne, ale jestem pewna, że wielu ludzi obawia się liceum, zdawania matury. Jednak dopiero będąc na studiach, zrozumiałam, jak nieznaczące to wszystko było. Strach przed egzaminami, przedmiotem, z którego jesteście słabi czy przed nowymi ludźmi – o tym łatwo się zapomina. Jednak z liceum wiążą się też dobre wspomnienia, które przechowujemy w przez kolejne lata. Dla mnie z pewnością były to te wszystkie przerwy spędzone z przyjaciółmi na trzecim piętrze, gdzie z prędkością światła staraliśmy się spisać pracę domową z angielskiego, te wszystkie wycieczki, przed którymi modliliśmy się o opiekuna w postaci przychylnego nam nauczyciela, projekty z historii sztuki robione na ostatnią chwilę po wypiciu o jedną szklankę kawy za dużo czy streszczanie koledze z ławki „Lalki” w ciągu 5 minut przed wejściem na lekcję języka polskiego. Mogłabym wymienić jeszcze wiele więcej, ale jestem pewna, że każdy z absolwentów naszej szkoły może mieć podobne myśli, gdy słyszy hasło: II Liceum Ogólnokształcące w Łodzi. Na koniec chciałam jeszcze podziękować mojej byłej wychowawczyni, Pani Annie Ryłek, o której do dziś mówię jako „najlepszej nauczycielce w swojej karierze edukacyjnej” oraz Panu Dyrektorowi Dariuszowi Jędrasiakowi, który pozwolił mi urzeczywistnić marzenia o podróży do Japonii. Nie wiem, czy za 30 lat wciąż będę o tym wszystkim pamiętać, ale cieszę się, że pisząc to dzisiejszego wieczoru, mogłam te miłe wspomnienia odświeżyć.

Maria Muchowiecka, z domu Arędzka – matura 1972

Z II Liceum Ogólnokształcącym im. Prezydenta Gabriela Narutowicza -
przez pokolenia

W moim wielopokoleniowym rodzinnym domu, jak tylko pamiętam, przewijał się temat szkoły, do której uczęszczali w 20-leciu międzywojennym mój Tato Leszek i jego brat Czesław. Ich Mama, a moja Babcia, która z nami mieszkała, bardzo często wspominała ciekawe, a niekiedy zabawne historie związane ze szkolną edukacją jej synów.

Babcia udzielała się aktywnie w Komitecie Rodzicielskim i wiele na ten temat opowiadała, pokazując nam, swym wnukom – mnie i bratu, zachowane czarno-białe, trochę już pożółkłe fotografie umieszczone we własnoręcznie wykonanym albumie. I właśnie oglądaniu zdjęć towarzyszyły różne barwne wspomnienia i wiele szczegółów o szkolnych perypetiach jej synów. Wymieniała przy tym nazwiska uczących w tamtym czasie profesorów jak Pani Prof. Gundlach, Panowie – Prof. Mierzwa, Prof. Filutowicz czy Prof. Kwaśniak.

Z nazwiskiem tego ostatniego, Prof. Kwaśniaka – była związana dość zabawna sytuacja.

Otóż Tato i Jego brat, przychodząc po lekcjach do domu, zdawali rodzicom relacje z tego, co działo się w szkole, używając głównie przyjętych w szkolnym języku tzw. ksywek lub skrótów od oficjalnych nazwisk profesorów. I tak Prof. Kwaśniak, uczący gimnastyki, był nazywany Profesorem Kitajem. Któregoś razu, z powodu jakiejś niesubordynacji chłopców ich Mama, a moja Babcia, została wezwana do szkoły na rozmowę z profesorem od gimnastyki. Wchodząc na teren szkoły poprosiła kogoś z personelu o widzenie się z Prof. Kitajem. Odpowiedziano jej, że profesor o takim nazwisku nie uczy w tej szkole i dopiero po dłuższych wyjaśnieniach okazało się, że chodzi o Prof. Kwaśniaka. Babcia o mało nie spaliła się ze wstydu, a po powrocie do domu chłopcy otrzymali ostrą reprymendę i jakieś dodatkowe kary.

Jak pamiętam, Babcia opowiadała też dużo o działalności Komitetu Rodzicielskiego na rzecz uczniów, którzy pochodzili z mniej zamożnych domów. Panie z Komitetu przygotowywały im tzw. drugie śniadania

i organizowały jakieś inne formy materialnej pomocy. Jednym z takich uczniów był bliski kolega mojego Taty, który już w latach powojennych często odwiedzał nasz dom i wspominał m.in. właśnie te smaczne śniadania.

Z opowieści Babci wynikało, że Gimnazjum im. Pierwszego Prezydenta II Rzeczypospolitej cieszyło się w łódzkiej społeczności okresu 20-lecia międzywojennego bardzo dobrą opinią i za takie też było oficjalnie uznawane. Kolegami klasowymi Taty i Wujka byli synowie pierwszego Prezydenta Łodzi, Aleksego Rzewskiego.

Obaj synowie Babci rozpoczęli studia wyższe na prestiżowych uczelniach, SGH w Warszawie i na UAM w Poznaniu. Niestety wybuch II wojny światowej przerwał brutalnie ten etap edukacji.

Gdy Liceum mieściło się jeszcze przy ul. Targowej 63, mijałam je codziennie w drodze do Szkoły Podstawowej nr 154, przy ul. Fabrycznej 4, której teren graniczył z boiskiem Liceum i marzyłam, że tam będę kontynuować swoją edukację. Szkoda, że Liceum nie mogło pozostać na zawsze w tym pięknym miejscu. Mój brat Paweł rozpoczął w nim jeszcze swój pierwszy rok nauki, po czym szkoła została przeniesiona na ul. Nową, do której i ja zostałam przyjeta, ciesząc się, że tradycje rodzinne są kontynuowane, czym uradowana była też moja Babcia, która w ten sposób mogła odświeżać swoje wspomnienia i być przy mnie przez 4 lata licealnej nauki.

Z mojej edukacji w II LO zachowałam wiele wspaniałych wspomnień, a nawiązane przyjaźnie i koleżeńskie relacje są do dziś kontynuowane.

Aleksandra Skórska-Glonek – matura 2000

Moje wspomnienia

Zostałam poproszona przez Dyrektora Dariusza Jędrasiaka, o napisanie kilku wspomnień, dotyczących mojej nauki w II LO. Poczułam się wyróżniona – przyznaję – i jednocześnie przestraszona czy jeszcze coś pamiętam, ale przede wszystkim: czy dam radę?

Z racji tego jednak, że charyzma Dyrektora jest tak ogromna jak jubileusz szkoły, po prostu nie mogłam odmówić.

Co pamiętam?

Pamiętam, że my uczniowie byliśmy szczęśliwi. Nie mieliśmy 10 grup na What'supie tylko jedną, dwie lub nawet trzy – ale prawdziwe – ludzkie. Uczucia było po nas widać, nie potrzebowaliśmy emotikonów, by pokazać naszą radość, złość lub zdziwienie. Mam wrażenie, że byliśmy przy tym naturalni, spokojni i prawdziwi.

Z liceum zachowałam przyjaźnie, które trwają do dziś. Z Kasią znamy się tak dobrze, że jedno jej „halo” wystarczy, bym wiedziała, czy jest dobrze czy źle :) Myślę, że u niej działa to podobnie...

Razem wygrałyśmy... odkurzac...(!) w konkursie „Wiedzy o Korei”. Nie mogę o tym nie napisać, bo to wspomnienie pomimo tego, że minęło już prawie 25 lat, nadal wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

Co jeszcze pamiętam? Profesjonalizm nauczycieli.

Nasza wychowawczyni Pani Alicja Łacka przepięknie mówiła o polskich wieszczach, a uczenie języka polskiego nigdy nie przeszkadzało jej, w otaczaniu nas ciepłą, matczyną opieką.

Pamiętam Panią Małgorzatę Stawiszyńską-Janasz, która genialnie uczyła biologii. Miałam przeświadczenie, że z jej wiedzą i sposobem jej przekazywania mogłaby być lekarzem.

Pamiętam Panią od chemii Jolantę Saramonowicz – mówiącą do nas: „Ola, dziecko, wyjdź z za okna”, dzięki której teraz ze spokojem tłumaczę



chemię mojemu starszemu synowi. Zawsze podziwiałam jej czarne, lśniące glany.

Pamiętam profesora Aleksandra Łynkę – i to jak bardzo byłam dumna, że mam u niego 4 z historii.

Pamiętam Panią od matematyki – Helenę Majcher, która była moim i Kasi zwierzchnikiem sekcji dekoracyjnej, co absolutnie nie przeszkadzało jej zupełnie, w przekazywaniu nam ścisłych matematycznych zawiłości.

Pamiętam nauczycieli języków: Jadwigę Ochocką i Marka Mikosza, dzięki którym teraz mogę swobodnie rozmawiać z kontrahentami zagranicznymi.

Pamiętam Panią od geografii Zofię Wiatrowską, która potrafiła zaciekać nas wykładanym przez siebie przedmiotem, której lekcję o rodzajach chmur, ich kształtach, wielkościach i położeniu pamiętam do dziś...

To były cztery cudowne lata. Pełne beztroski, radości i fajnych przyjaciół. My się tak po prostu lubiliśmy, i chcieliśmy przychodzić do szkoły.

Ja sama, zawsze miałam w niej poczucie bezpieczeństwa i swobody, wraz ze świadomością, że zdobywanie wiedzy może, być ciekawe.

Teraz jestem mamą dwóch wspaniałych synów. Chciałabym, by mieli oni tak samo dobre wspomnienia po szkole średniej, jakie mam ja. Życzyłabym i sobie i im, by zyskali wiedzę, dającą dobry start w przyszłość, oraz optymizm i radość z przebywania z fajnymi i prawdziwymi ludźmi. Chciałabym, by w ich szkole, czuli się równie swobodnie, i mieli poczucie prawdziwego spełnienia.

No może odkurzacza nie muszą wygrywać.